

To dialog,

Dziś kończy 50 lat. Urodziny spędzi na próbie „Mewy” Czechowa w teatrze Studio. Rolę Arkadiny przygotowuje na swój jubileusz 25-lecia pracy artystycznej. To nie przypadek. 25 lat temu młodziutka Krystyna Janda grała Ninę Zarięczną w „Mewie” Czechowa w teatrze Ateneum.

DOROTA WYŻYŃSKA: O „Mewie” w Ateneum z 1977 roku pisała Pani: „mordowałam się z Niną Zarięczną”, „nie nawidziłam tej postaci”. „Budziłam się rano z myślą: o Boże, wieczorem znów muszę grać tę koszmarną Ninę. To była prawdziwa, fizyczna męka”.

KRYSZYNA JANDA: Najtrudniejsza jest scena pierwsza – teatru w teatrze. Nina Zarięczna prezentuje katastroficzny tekst napisany przez syna Arkadiny Konstantego Triplewa: „Ludzie, lwy, orły i kuropatwy... zimno, zimno, zimno... strach, strach, strach...”.

„Mewa” w Teatrze Ateneum była spektaklem tradycyjnym. Reżyser, pan Janusz Warmiński, dbał o realia epoki. Siedziałam opatulona szalem i mówiłam ten piekielny tekst, z którym nie umiałam sobie poradzić. Zła, bezsilna z powodu braku dostatecznych środków wyrazu, nieszczęśliwa i sama sobą zdruzona od pierwszych słów.

W tym spektaklu zrobiłam też kiedyś coś, czego nie mogę sobie do dziś wybaczyć. Bez zgody reżysera – jako debiutująca aktorka – nie powiedziałam trzech stron tekstu, ominęłam ostatni, popisowy monolog. Błakająca się po świecie Nina wraca po latach. Widzowie wiedzą, co się z nią działo, bo inne postaci opowiedziały wszystko w poprzednich scenach. Wiemy, że umarło jej dziecko, że jej miłość do Trigorina była nieszczęśliwa, że nie zrobiła kariery jako aktorka. Nina ma to jeszcze raz opowiedzieć między innymi po to, aby Triplew mógł popełnić samobójstwo tuż po jej wyjściu.

Byłam aktorką nieprzewidywalną i niosącą na tacy: nerwy, serce, wyobraźnię, ale w sposób taki, jak to robi dziewczica. Wszłam na scenę i powiedziałam: „Kostia...” Nagle wydało mi się, że wszystko w tym jednym „Kostia...” już zagrałam. Że brak jej opowieści będzie dla widzów silniejszym przeżyciem. Zeszłam ze sceny. Potem w garderobie płakałam i tłumaczyłam dyrektorowi, że chciałam dobrze. Że nie było to lekceważenie teatru. Uznałam, że tak będzie piękniej. Wielki amator nadal we mnie został: Co wieczór coś zmieniam.

Arkadina w tamtej inscenizacji grała Aleksandra Ślaska.

– Obserwowałam ją pilnie. Oceniałam okrutnie, pewnie tak jak młode aktorki teraz moje aktorstwo. Wtedy miałam uczucie, że ja przynoszę serce i stawiam w grze naprzeciwko niej, wielkiej „techniczki”. Wspaniały warsztat i świadomość wyborów, doskonała powtarzalność. Raz ustalona melodia zdania nie zmieniła się nigdy, tempo odkładania parasolki, zakładania płaszcza było doskonałe, precyzyjne i niezmiennie – co wieczór. Ale ja wtedy oceniałam to jako „nieładność”. Nie chciałam ani taka być, ani tak grać.

Jej mękę, niepokój, wysiłki rozumiem dopiero dziś. Ach, myślę nagle, to dlatego przed trzecim aktem garderobiana musiała zrobić Maestrze Śląskiej krzyżyk na czole. A przed innymi nie wolno było.

Dlaczego przed trzecim aktem?

– Bo trzeci akt jest najtrudniejszy. Pamiętam, jak Marysia – garderobiana – pomyliła się i zrobiła krzyżyk przed drugim aktem. Była karczemna awantura. Ten swoisty rytuał wydawał mi się śmiesznością i śmiejąc się bezlitośnie, jak tylko młodość i bezmyślność śmiać się potrafi, tłumaczyłam jej, że przed drugim aktem krzyżyk też nie zaszkodzi, może dzięki temu jej dobrze pójdzie... Dziś chciałabym, żeby i mnie ktoś zrobił krzyżyk na czole przed trzecim aktem.

Pamiętam jej walkę o młodość, jej nieprawdopodobną chęć udowodnienia, że jest jeszcze fantastyczna. Na scenie był przewrócony pień. Jej Arkadina, śmiejąc

się lekko, przebiegała po nim. Wtedy myślałam: „Ta stara baba zwariowała”.

Arkadina to rola, po którą sięgają aktorki po pięćdziesiątce i starsze, a Arkadina u Czechowa ma 42 lata. Ma jeszcze wiele pretensji do życia i do miłości. Ta rola łączy się z problemem wieku, apetytem na życie i miłość, i jeszcze młodość, to jest „w grze”. Meryl Streep, która grała nie tak dawno Arkadina w Nowym Jorku, w momencie, kiedy ta mówi: „Proszę – jak laleczka! Mogę jeszcze zagrać 15-letnią dziewczynkę”, zrobiła na scenie gwiazdę, mimo że grali „w epoce”.

Jaki był tamten spektakl w Ateneum?

– Wystarczy spojrzeć na stare zdjęcia. Kiedy patrzę na kostiumy z „Mewy”, dziś wydają mi się koszmarnie. Moja fryzura była straszna. W takich czasach żyliśmy. Mam sukienkę z krempliny naszytą koronkami z nylonowej halki, i coś takiego było w aktorstwie...

Ale z drugiej strony, jak pomyślę, jak w tym przedstawieniu grał doktor Czesław Wołłejko. Dziś niewiele tak potrafi – tak nowoczesnie, inteligentnie, wielo-

znacznie, lekko. Było to wspaniałe. Trigorina grał wtedy w tamtym przedstawieniu Jurek Kamas. Świetnie. Dyskretnie. Bardzo ładnie. Dziś, w tym przygotowanym „pod batutą” Zbyszka Brzozy w teatrze Studio, będzie doktorem. Patrzę na niego z prawdziwą czułością. Mam ochotę co

chwila podbiec i go pocałować, mimo że Arkadina z doktorem w tym utworze niewiele mają wspólnego. Patrzymy na siebie: „No widzisz, minął taki kawał czasu!”.

Za czym tęskni Arkadina? Co ją boli?

– Rozumiem moją Arkadina. W tej opowieści najbardziej dotyka i interesuje mnie jej związek z synem. Owszem, jest też Trigorin – „ostatni mężczyzna jej życia”. Czy go kocha? Czy on ją kocha? Czy on wróci, czy odejdzie? Te problemy nie wydają mi się tak ważne jak okrucieństwo w stosunku do dziecka. Ten konflikt między matką a synem, i to na wielu płaszczyznach, i artystycznej także, jest fascynujący. Ranią siebie nawzajem z miłości i bólu, z wzajemnie wyrządzanej sobie krzywdy i braku wzajemnej akceptacji. Ona nie wierzy w jego talent, on nazywa ją wodewilową artystką. On to pragnące miłości, zainteresowania, akceptacji dziecko, młody mężczyzna raniony lekceważeniem i brakiem miłości, a nawet zainteresowania. I ona – okrutnica, egoistka, matka z wyrzutami sumienia, krzykiem i śmiechem starająca się je w sobie zabić. I ta jej nieprawdopodobna wiara w to, że dziecko kocha, więc wybaczy. Mam podobną cechę. Uważam, że moje dzieci wszystko mi wybaczą, bo i tak miłość zwycięży.

Arkadina czuje, że jej czas minął, sława odeszła bezpowrotnie. Krystyna Janda – aktorka multimedialna – tak nazywa się Pani w swoim dzienniku internetowym – nie narzeka na brak popularności. Czy w tym zawodzie, aby być na fali, trzeba wciąż o to walczyć?

– Jestem starsza niż Arkadina, ale czuję się wiele lat od niej młodsza, na moje i państwa nieszczęście. Nie uwolnicie się tak łatwo! Wstanę nawet z grobu, żeby jeszcze coś zagrać! Nie bez powodu Marek Kondrat mówi do mnie żartobliwie: „Pani Mieczysławo” lub „Pani Szmira Jandzińska!”. Ależ tak!

Wracając, myślę, że w tym zawodzie trzeba zabiegać o widzów. Nie za wszelką ce-

W tym zawodzie
trzeba

być menedżerem.

Od lat prowadzę interes,

który nazywa się

Krystyna Janda

Teatr Studio: „Mewa” Czechowa (przekład – Natalia Gałczyńska), reżyseria – Zbigniew Brzoza, scenografia – Zbigniew Tomaszczyk, kostiumy – Dorota Kołodyńska, muzyka – Jacek Grudzień. Premiera – 5 stycznia. Współproducentem spektaklu jest Agencja Grami. Sponsory: Nokia, „Wprost”. Patroni medialni: „Gazeta Wyborcza”, Telewizja Polonia, „Elle”, Radio Zet.

a nie mój monolog



EDWARD BARTKIEWICZ/ADM

Krystyna Janda (Nina Zarieczna) i Andrzej Seweryn (Konstanty Tříplew), 1977 r.

nę, nie łaścić się do publiczności, ale ją szanować i mieć za partnera. Zawsze interesowało mnie to, co myśli. Chciałam się z nią porozumieć. Widzowie to czują i odpowiadają. To dialog, a nie mój monolog.

Robię tak dużo rzeczy dookoła: dziennik internetowy, który co rano przeklinam, a jednocześnie wstaję jak koń o szóstej i idę pisać, bo wiem, że po prostu dziś, po dwóch latach, dużo ludzi to czyta. Ktoś

pisze do mnie: pani dziennik jest moją jedyną pociechą, bez tego nie umiałabym żyć. Więc nawet jeśli to przesadzone, wstaję i idę do komputera – ach, ta moja uczciwość zawodowa i naiwność!

Wydaję książki, reżyseruję – tych dzieł, z których które się wzięłam, jest tak dużo – w końcu każdy na jedną z moich min wlezie. I kiedy jest jakiś plebiscyt wśród publiczności, to okazuje się, że tyłu ludzi tak dotkliwie ukąsiłam, że wypełnili na mnie po dziesięć kuponów.

A poza wszystkim w tym zawodzie trzeba być swoim menedżerem. Od lat prowadzę interes, który się nazywa Krystyna Janda. Nie we wszystko wchodzi po sobie i się w tym topię, ale jeśli już, nie potrafię robić nic na pół gwizdka.

Arkadina mówi: „Mam niewzruszoną zasadę: nie zaglądać w przyszłość”. A Pani?

– Kończę 50 lat, coś się zmienia. Kiedy wchodzi do bufetu, rozsiadań się i krzyczę: „Proszę mi przynieść herbatę”. Nie tak dawno, słysząc: „Młode aktorki prosimy na scenę”, zrywałam się pierwsza. Zasiadłam w łóż seniorów. Jest w tym coś przyjemnego. Teraz my dajemy przykład, jesteśmy najstarsi.

Często wspomina Pani dzieciństwo, rodzinne Starachowice?

– Coraz częściej. Jestem na etapie życia, kiedy coraz częściej dopada mnie nostalgia. Kilka dni temu miałam spotkanie po latach kolegów z liceum. Moja przyjaciółka przyniosła słońca fiołkowego, którego dostała ode mnie, kiedy umarł jej ojciec. Dla mnie też był to szczególny słoń. Uszyła go moja ciocia ze spodni mojego ukochanego dziadka, kiedy byłam malutką. Słoń dobrego serca – przekazywany z rąk do rąk – zachował się w całkiem dobrym stanie. Ma już 50 lat.

Rozmawiała DOROTA WYŻYŃSKA